

Falińska, Barbara

Spotkania z nauczycielami w Puszczy Zielonej : ze wspomnień językoznawcy

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 7, 263-267

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PAMIĘTNIKI. RECENZJE. BIOGRAMY. KRONIKA

Barbara FALIŃSKA

SPOTKANIA Z NAUCZYCIELAMI W PUSZCZY ZIEŁONEJ

Ze wspomnień językoznawcy

Moje spotkania z nauczycielami w Puszczy Zielonej rozpoczęły się wiosną 1950 roku, kiedy jako studentka pierwszego roku warszawskiej polonistyki zostałam poproszona przez Profesora Witolda Doroszewskiego o zorganizowanie badań gwaroznawczych w Myszyńcu, a więc w samym centrum Kurpiowszczyzny. Badania trwały trzy dni. Uczestniczyli w nich pracownicy naukowcy Katedry Języka Polskiego i studenci zrzeszeni w Kole Językoznawczym. Dla ówczesnej społeczności myszyńskiej przyjazd dużej grupy osób z Uniwersytetu był niemalym wydarzeniem. Władze lokalne zatroszczyły się z całą życzliwością o nasze zakwaterowanie, a miejscowi nauczyciele byli niezastąpionymi przewodnikami w kontaktach z wiejską ludnością. Mojej grupie przypadło w udziale wypełnienie kwestionariusza u starszej, bardzo sympatycznej informatorki. Przyjęła nas gościnnie, sprawiała wrażenie, że rozumie, o co nam chodzi, z wyraźnym przejęciem i cierpliwością zaczęła odpowiadać na pytania o nazwy różnych sprzętów i czynności gospodarskich, ale po pewnym czasie spytała: *Dziewczynki, a skąd wy jesteście?* Usłyszawszy odpowiedź: *Z Uniwersytetu, z Warszawy* — zareagowała: *Olaboga, z takiej dalecyjji ji za tako daremnoto.*

Cel naszego przyjazdu budził ogólne zdziwienie i niedowierzanie, że można się zajmować opisem mowy, której młodzi ludzie już wówczas zaczęli się wstydić. Toteż jeszcze pierwszego dnia z naszej inicjatywy Profesor wygłosił w sali szkolnej wykład na temat „Gwar i ich stosunku do języka literackiego”. Następnego dnia — już na prośbę nauczycieli — odbyła się pogadanka „O pracy nad nowym słownikiem języka polskiego” (Profesor Doroszewski był jego naczelnym redaktorem), a także „O rodzajach słowników i ich przydatności w zawodzie nauczycielskim”. W spotkaniach tych uczestniczyło wiele osób: chyba wszyscy nauczyciele, młodzież szkolna, a także liczne grono miejscowej inteligencji i naszych wiejskich rozmówców. Zainteresowanie było nieoczekiwane, kierowano do Profesora wiele słów wdzięczności i wiele pytań związanych z normą. „Rozmowy o języku” przeciągały się do późnych godzin (już przy herbacie).

Wiele spośród obecnych osób po raz pierwszy uświadomiło sobie fakt, że *gwarami* lub *dialektami* nazywamy dawniejsze odmiany języka, które formowały się w obrębie poszczególnych plemion po rozpadzie wspólnoty prasłowiańskiej. Dziś tymi odmianami — oczywiście już znacznie przekształconymi i w dużym stopniu zintegrowanymi z językiem ogólnopolskim — posługują się jeszcze najstarsi, niewykształceni mieszkańcy wsi lub miast. Ale nie tylko oni. W kontaktach rodzinnych mówią gwarami także ludzie znający język literacki, głównie Kaszubi, górale i Ślązacy. Mówimy o gwarach, a nie gwarze, ponieważ każda dzielnica kraju nieco inaczej rozwijała swój pierwotny język odziedziczony z epoki prasłowiańskiej. Mieszkańcy tych dzielnic żyli początkowo w izolacji, nie kontaktowali się ze sobą w takim stopniu jak my dziś. Ci nieliczni, którzy mieli możliwość kształcenia się, „przechodzili” na łacinę. Dopiero w XVI w. powstał *polski język literacki*, czerpiący najwięcej z gwar: wielkopolskiej i małopolskiej, a w dalszej kolejności z kresowej i mazowieckiej.

Wskutek kilkunastowiecznej odrębności Mazowsza wytworzyły się pewne *cechy językowe* właściwe tylko tej dzielnicy, które śmieszyły niegdyś Wielkopolan i Małopolan, a dziś mogą wywołać drwiny, gdy występują w języku oficjalnym ludzi wykształconych. Taką typową cechą była i jest np. wymowa typu *pchiwo*, *whino*, *whiater*, w gwarze kurpiowskiej *psiwo* i *vzino*, *vziater* lub z uproszczeniem grup spółgłoskowych: *zino*, *ziater* (*ziater ziejze*).

Mazowszan, których dawniej określano Mazurami, wyśmiewano również za nieodróżnianie spółgłosek *cz*, *ż* (z wyjątkiem „ż” pisanego przez „rz”), *sz*, od *c*, *z*, *s*, tj. za wymowę typu *capka*, *syja*, *zyto*. Tę cechę nazywano *mazurzeniem*, choć przecież tak samo mówili Małopolanie. Krytykowana cecha językowa jest zazwyczaj przedmiotem kpin, które upowszechniają się w postaci żartów, dowcipów, anegdotek czy bajeczek, nie zawsze cenzuralnych i bywają niekiedy przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jeszcze z czasów szkolnych zapamiętałam historyjkę o Kurpiu, który jechał wozem ze Szczytna i wioził pszenicę. Siedzący tyłem do niego synek zauważył, że w worku zrobiła się dziura i ziarno powoli zaczyna wysypywać się na drogę. „Tato, prosy” wołał z przejęciem do ojca, ale ojciec uspokajał go mówiąc: „siedź, siedź synku, jescie nie Prusy”. To nieporozumienie językowe zostało wyjaśnione, gdy już worek był pusty.

Gwara mazowiecka ma wiele odrębności słownikowych, fonetycznych, znaczeniowych, a także osobliwości fleksyjnych (np. *dzieciak dacy* „chętnie dający”, *krowa jeca* „chętnie jedząca”, *muchi niemogetne*, *owce sie pašli*, *rękawy sie rozlecieli*, *weźta*, *dajta* (pozostałości liczby podwójnej), *idziem*, *weźmiem*, *piolla*, *miolla* itp. Gdyby Warszawa była pierwszą stolicą Polski, większość tych form mieściłaby się dziś w ogólnopolskiej normie. Inteligencja mazowiecka pochodzenia wiejskiego zachowała je w postaci reliktywnej, nie uświadamiając sobie ich ograniczonego zasięgu. W pracach językoznawczych mówi się o takich formach odmiany, wariantach wymowy i nazwach lub konstrukcjach składniowych jako o *regionalizmach*. Regionalizmy są akceptowane w języku potocznym, ponieważ nie utrudniają porozumiewania i nadają lokalny koloryt polszczyźnie regionalnej. Często jednak drażnią purystów językowych lub mieszkańców innych dzielnic. Warszawiacy zżymają się na Krakowian np. za wyrażenia i nazwy: *na polu* zamiast *na dworze*, *sagan* zamiast *czajnik*, *beretka* zamiast *beret*, także za wymowę typu: *czysta czdzieści czy* (333) lub *jezdem*. Natomiast u Krakowian rażą często słyszane w stolicy

powiedzenia: buty *przemiekają* (a nie *przemakają*), *rękami*, *nogami*, *cuker*, *chiba*, *nogie*, *lypa*, *lyst*. Nie wszystkie odstępstwa od normy w języku ludzi wykształconych można usprawiedliwić regionalizmami. Często są to po prostu błędy, z których nie zdajemy sobie sprawy, ponieważ własnych błędów na ogół sobie nie uświadomiamy, czynią to za nas inni, w myśl zasady: *jak cię słyszą, tak cię piszą*. Każdy mówiący językiem literackim może narazić się na śmiech, czasami na trwale przewisko z powodu niepoprawnej wypowiedzi czy użycia wyrazu, najczęściej obcego, w niewłaściwym znaczeniu. Śmiejemy się, gdy ktoś mówi, że chuligani *zdemaskowali* kiosk (zamiast *zdemolowali*), że najpierw trzeba załatwić *patenta* (zamiast *petenta*), że należy *adoptować* jakiś budynek (zamiast *adaptować*). Inni śmieją się z nas słysząc, jak mówimy *karnister* (zamiast *kanister*), *kontrol* (zamiast *kontrola*), *ubrać palto* (zamiast *ubrać się w palto*) itd. Nasze reakcje językowe ktoś kiedyś porównał do sytuacji w zatłoczonym tramwaju. Gdy „wymaglowana” pasażerka radziła przepychającej się, korpulentnej pani *schuć*, inna osoba zareagowała: *jak ta pani mówi, można pęć*.

Z reguły rodowity mieszczuch skłonny jest przypuszczać, że tylko on mówi poprawnie, natomiast inteligent pochodzenia wiejskiego uważa zwykle swój język za gorszy i bezkrytycznie przejmuje wszelkie cechy mowy miejskiej, byle odciąć się kulturowo od swoich wiejskich korzeni. Jest to postawa nieuchronna, podobnie jak zanik gwar. Dał temu wyraz Stefan Żeromski, pisząc w książce „Snobizm i postęp”, że: „nowa fala inteligencji, wychodząca z łona chłopstwa, wstydząc się, naturalną koleją rzeczy, swego prostactwa domowego i gardząc mową nieokrzesanych ojców, będzie kultywowała z przesadą pański, miejski, wielkoświatowy sposób mówienia, a tym sposobem, przy ogólnym podniesieniu się stopy życia wiejskiego, spowoduje, jeżeli nie zupełny zanik, to głębokie przyćmienie gwary” (Warszawa 1929, s.138).

Każda gwara — oprócz nazw i form gramatycznych wspólnych z językiem ogólnopolskim — ma swoiste cechy fonetyczne i morfologiczne, tj. słowotwórcze i fleksyjne, ma także częściowo odmienne słownictwo, frazeologię i składnię. W kontaktach rodzinnych gwara może mówić każdy z nas, kto ma na to ochotę, pod warunkiem, że będzie to czynił dobrze, zgodnie z panującą w niej normą, czyli tak, jak rzeczywiście mówią ludzie niewykształceni w danej okolicy na wsi lub w mieście. W przeciwnym razie możemy być posądzeni, że przedrzeźniamy tych, którzy posługują się tą odmianą języka na co dzień. Nieznajomość języka literackiego świadczy o braku wykształcenia, a nie inteligencji, ponieważ tych właściwości psychicznych nie należy utożsamiać. Prof. W. Doroszewski wypowiedział się na ten temat w książce „O kulturę słowa” w następujący sposób: „*Inteligentny* — a *wykształcony* są to rzeczy różne. *Wykształcony* to mający przede wszystkim pewną sumę wiadomości, *inteligentny* to mający samorzutny zdrowy rozsądek i umiejący się nim posługiwać. Może być, lapidarnie mówiąc, *wykształcony* tuman i *inteligentny* analfabeta. Wśród ludzi niewykształconych lub niedostatecznie wykształconych w Polsce jest bardzo dużo osób *inteligentnych*, czasem uderzająco *inteligentnych*. Pierwszym zadaniem nauki jako siły społecznej powinno być wyzwolenie potencjalnej energii i zdrowego rozsądku mas, szukanie dla tej energii dróg ujścia, obrona jej przed tym, co ją wykołaja i głuszy. Mówmy szczerze — ani wykształcenie, ani nawet uczość nie są patentem na inteligencję. Gdy się myśli o możliwościach rozwojowych, drzemających w ludziach, przypominają się piękne słowa napisane kiedyś przez Aleksandra

Świętochowskiego w „Hymnie niemych”: *Gdyby zebrać te zmarnowane krople, powstałyby morza, gdyby stopić te iskry, powstałyby słońca, gdyby związać te ruchy, powstałyby potęgi*” (Warszawa 1962, s. 278-287).

W kilka lat po wycieczce dialektycznej do Myszyńca moje spotkania z wieloma nauczycielami z Puszczy Zielonej stały się bardzo częste. W roku 1954 Zakład Językoznawstwa PAN, kierowany przez Prof. W. Doroszewskiego, rozpoczął systematyczne badania gwar mazowieckich. Uczestniczyłam w nich (będąc już pracownikiem tego Zakładu) z satysfakcją, jaką daje spojrzenie na tradycyjną gwarę rodzinnego środowiska, jako na *skarbnicę mowy ojczystej*. Świadomość, że w *poznawaniu gwary i ocalaniu jej od zapomnienia*, mogą mieć udział niekoniecznie profesjonalści, stała się podstawą systematycznej współpracy między placówkami naukowymi i oświatowymi. Pomoc społeczna jest w badaniach gwaroznawczych niezbędna. Po pierwszej wojnie apelował o nią twórca dialektologii polskiej, Profesor Kazimierz Nitsch. W budzeniu świadomości społecznej pomagał mu sam Stefan Żeromski, który tym sprawom poświęcił większą część cytowanej książki, pisząc: „Językoznawca powinien właściwie tylko segregować zebrane materiały. Samą pracę notowania topografii rzeczy-wyrazów powinna wykonywać inteligencja polska wszystkich dzielnic, na wzór inteligencji poznańskiej, która już na kwestionariusze prof. Nitscha odpowiadała oraz na arcywzór inteligencji niemieckiej, która właśnie swój wielki słownik narodowy w taki sposób zbiorowo prowadzi. Rzec jest prosta i łatwa. Ktokolwiek styka się z ludem: ksiądz, organista, lekarz, aptekarz, weterynarz, geometra, budowniczy, rolnik, kierownik sklepu, urzędnik pocztowy, administracyjny, powiatowy, gminny, a nawet sam wszechobecny agitator przedwyborczy, słysząc z ust ludu autentyczną nazwę swoistą, może ją przecie zapisać na kartce korespondencyjnej z podaniem dokładnym miejscowości, gdzie przebywa jego rozmówca, który tak oto dany przedmiot, w kwestionariuszu wymieniony, nazywa (s.137). Ażeby tę sprawę raz poruszyć, należałoby zacząć od jakiejś czynności. Uważam, iż, na przykład, wędrowni po kraju skautów i starszych uczniów mogłyby sobie obrać za cel zbieranie wyrazów, jak się zbiera kwiaty lub motyle” (s.140).

Badania gwaroznawcze stały się sprawą nie tylko ważną, ale i bardzo pilną. Chodziło przecież nie tylko o lepsze poznanie przeszłości polskiego języka, ale także przeszłości naszego narodu, która odbija się w słowach jak w zwierciadle. „Wyrazy — jak pisał prof. Doroszewski — są jak mosty przerzucone nad wiekami, z których można oglądać treść upłynionych zdarzeń”. Gdybyśmy nawet nie znali dziejów jakiegoś regionu, to analiza języka najstarszych pokoleń mieszkańców pozwoliłaby nam na odtworzenie wszystkich ważniejszych powiązań historycznych, etapów rozwoju, losów osadnictwa. Np. gdybyśmy nie mieli dokumentów potwierdzających odkrycie Mikołaja Kopernika — wyjaśniał studentom językoznawca warszawski, Profesor Jan Tokarski — to sam język byłby wystarczającym świadectwem; mówimy przecież: *słońce wschodzi, słońce zachodzi*, a ziemia pozostała nadal *niewzruszona*. Znaczenie informacji historycznych zawartych w słownictwie gwarowym jest bezsprzeczne, a wartość wciąż jeszcze żywego, ale wymierającego już źródła, jakim są gwary — bezcenna.

W latach sześćdziesiątych Profesor Doroszewski powtórzył swój przedwojenny apel do nauczycieli Mazowsza. Zwrócił się także z prośbą o współpracę do regionalnych towarzystw naukowych i społeczno-kulturalnych. Apel nie pozostał bez echa. Płockie

Towarzystwo Naukowe drukowało i rozsyłało do szkół nasze kwestionariusze. Włączyło się także Kuratorium z inicjatywy Pani mgr Kazimiery Jagiello-Rodkiewiczowej, kierującej ówczesnym Szkolnym Ośrodkiem Krajoznawczym, która zorganizowała poświęcone tej sprawie spotkanie językoznawców i etnografów z krajoznawcami w Chorzelach. Powstał zespół badaczy-nieprofesjonalistów, liczący kilkadziesiąt nauczycieli różnych przedmiotów, który przez wiele lat spotykał się z nami w kolejno wybieranych miejscowościach dwa razy w roku na sobotnio-niedzielnym konferencjach. Plony współpracy oceniamy przede wszystkim jako wspólny sukces naukowy, ponieważ dzięki pomocy społecznej stało się możliwe opracowanie wielu zagadnień językowych. Opublikowano już 10. tomowy „Atlas gwar mazowieckich”, będący bez wątpienia pomnikiem gwary, która jest przecież bardzo istotną częścią tradycyjnej kultury naszego regionu. W ocenie tych plonów należy wziąć pod uwagę jeszcze inny aspekt — moralny, są one bowiem znakomitą świadectwem społecznej postawy wielu pedagogów w czasie, kiedy — jak się wyraził ktoś z zespołu — „na nauczycielach pracujących za skromne wynagrodzenie wieszano różne dodatkowe obowiązki, jak świecidełka na choince”. Potwierdzeniem tego niech będzie fragment relacji autobiograficznej wieloletniej uczestniczki zespołu, mgr Zofii Stuszewskiej z miejscowości Zaręby w woj. ostrołęckim: „Jakbym miała jeszcze za mało, Wydział Oświaty narzuca mi nowy obowiązek — zbieranie materiałów gwarowych dla potrzeb PAN. Daremnie wierzgam przeciw ościeniowi. — Jest pani studiująca polonistykę, zasiadła w tej okolicy, więc ktoś to lepiej zrobi jak nie pani — taka jest mniej więcej odpowiedź na mój sprzeciw. Władze wojewódzkie narzuciły im takie zadanie i ktoś je musi podjąć w terminie. Inna rzecz, że później błogosławiłam tę decyzję, która obciążyla mnie dodatkową pracą, ale za 2 lata stała się inspiracją do napisania pracy magisterskiej... 6 września 1964 roku zabłyśły w naszych domach pierwsze żarówki elektryczne! A w pół roku potem obroniłam swą pracę i uzyskałam dyplom magisterski z bardzo dobrym wynikiem. (...) Dalej utrzymywałam kontakty z Pracownią Dialektologiczną PAN, współpracując przy zbieraniu materiałów do słownika gwar mazowiecko-podlaskich. Co parę miesięcy odbywały się spotkania w Warszawie lub w terenie całej tej rzeszy nauczycieli, którzy kosztem własnego odpoczynku bogacili skarbnicę kultury narodowej. Pozostały mi z tego okresu wspomnienia, *dobra znajomość kultury regionalnej tych okolic* (podkreślenie moje — B. F.) i kilka ślicznych albumów z cennymi dedykacjami” (Nauczycielskie lata w Zarębach, Zeszyt Naukowy, Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe, Ostrołęka 1987, s.122-123).

Reorganizacja województw, nieprzemyślana likwidacja tradycyjnych form szkolnego ruchu krajoznawczego i inne okoliczności sprawiły, że systematyczne, zespołowe kontakty z nauczycielami zostały zahamowane i rozpoczęło się poszukiwanie nowych możliwości badawczych. Zapracowanych nauczycieli zastąpiła częściowo młodzież szkół średnich, zapraszana przez Kuratoria na dwutygodniowe obozy gwaroznawcze, finansowane — na moją prośbę — w latach 1989-1991 przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania (a później — Edukacji Narodowej). Motywacją naszych wędrówek *od wsi do wsi* w gminach Łyse, Czarnia, Kolno i innych była i jest nadal ta sama idea, którą sformułowali jeszcze w swoim statucie założyciele Towarzystwa Przyjaciół Nauk: „Cokolwiek Ojczyzny się tyczy, zgromadzić i od niepamięci zachować, szczególnie zaś przywiązanie do niej w rodakach ożywiać, utrzymywać, rozszerzać”.